

Na straży granic

Obrazek z nad Czeremoszu

Dął silny wiatr, a deszcz spadając wielkimi kroplami, zalewał strumieniami wody skalisty brzeg. Był późny wieczór i pokryte chmurami niebo tym groźniejsze sprawiło wrażenie. Kuty i leżąca po rumuńskiej stronie Wyżnia tonęły we mgle, rzadka tylko migocząca rozsiągnięta szeroko światłokami nielicznych domków. Dwa małe ciche miasteczka — dwa kraje. Małe huculskie miasteczko Kuty i położona po przeciwnej stronie rzeki, po przeciwnej stronie granicy rumuńska miejscina Wyżnia.

DWA MIASTECZKA

Łączy je wąski, żelazny most graniczny. Dzieli je sąsiadujący w dół Czeremosz i czerwona linia na mapie. W górze, tuż przy białoczerwonej barierze, spuszczonej, broniącej wstępu na most, drewniana budka. Białe światło dobywa się przez małe okienko. Domek strażnika. Otwierają się wąskie drzwi, wychyla się wysoka, barczysta postać.

— Kto? Kto tam?

Cisza. Jasnym snopem pada światło z latarki umieszczonej na pierścach. Obejmuje postać stojącą u bariery.

STRAŻNIK

— Kto to? — pytanie od strony zielonego munduru. Pograniczny strażnik!

W padającym z otwartej budki świetle widać go wyraźnie. Ma jakby ciemno-zielony mundur przepasany skórzanym pasem. Wysokie buty, okryte zieloną czapką. Broń.

— Ciężka musi być służba strażnika? — nieśmiało pytanie po wylegi-tymowaniu się.

Ciche westchnienie.

— Każda służba może być ciężka i przyjemna. Nie jest tu wesoło oczywiście, ale, mój Boże, osiem godzin szybko przechodzi, zmiana dyżuru, odpoczynek, powrót do miasteczka. Oczywiście najgorsza jest praca nocna. Szczególnie zimna i jesienią. A może właśnie jesienią. Długo są wieczory, smutne i deszczowe, huczy wiatr, szumi Czeremosz. Nie chce się wychodzić na zewnątrz.

— Przytym chyba niebezpiecznie. Czy zdarzają się tu często wypadki przedzierania przez granicę?

NA STRAŻY

— Oczywiście, że bywają. W tym miejscu naogół jednak rzadziej. Drogniejszym jest sam Czeremosz. Nie jest przecież szeroki, z łatwością można go przejść niespostrzeżenie... też niespostrzeżenie dostać się do miasteczka. Most jest strzeżony i tu i tam, — Wskazuje ręką drugą stronę żelaznych rusztowań. Po przeciw-

nej stronie inna powiewa flaga. Przy spuszczonej barierze podnosi się nie tylko na kilka godzin, kiedy mostem idzie pociąg łączący Kuty z... Polską, przez Wyżnię oraz gdy dwa razy dziennie przez pewien czas mając prawo przekroczenia granicy ze specjalnymi przepustkami suną pojazdy konne, samochody oraz piesi. Przy spuszczonej barierze — także sama niemal budka. Przez zapotnia- le od deszczu okienko wąską smugą pada białe światło. Mający z daleka pochylona nad jakimś papierem postać.

— To w Rumunii... kolega... też strażnik. Bardzo sympatyczny — pada po polskiej stronie.

„CZEREMOSZ SZUMI PO SKALE...”

— Czasem rozmawiamy, albo nawołujemy się, gdy nam się bardzo przykry. Deszcz zdaje się padać mniejszy i wychodzi na kolejowy nasyp. Wśród ciemnych okrytych gęstym lasem gór otaczających Wyżnię w dolinie na niewielkim wzgórku blade połyskuje, mokry od deszczu kopolasty, kryty blachą dach

prawosławnej cerkiewki. W dole szmerze cicho Czeremosz a jego powierzchnia marszczy się tysiącami fal obijających kamieniste dno. W dali, w górę rzeki widoczny mały czerwony punkcik. Zdać się poruszać z lekka powoli zbliżając się. Płynię już dołem mijając most. Kilkanaście gładko obciosanych bali zbitych razem dość luźno.

TRATWY

Tratwa. Na przodzie, na przymocowanym pionowo patyku umieszczono małą, rzucającą blade światło na duże pochylone postacie latarki. Obok smętnie zwisa, mokra i brudna dwukolorowa szmatka — chorągiewka. Padają z dołu jakieś słowa obijając się echem pod mostowym sklepieniem.

— Dwa... Try... Zero... — rzuca- ne z przerwanym głosem donośnym.

Zeglując między filarami mostu, tratwa wysuwa się naprzód, jeszcze obija się z lekka o brzeg i już ginie za zakretem.

— To była tratwa nasza — oznaj- mia strażnik — jakaś zapóźniona moc- no... Na taką pogodę to wiesz... — śmieje się.

— Co znaczący te cyfry rzucone głosem tak bardzo donośnym?

— To numer tratwy. On poprostu podaje numer do notowania. To jest potrzebne. Zwykle ktoś stoi pośrodku i spisuje tratwy, które płyną. Płyną tratwy polskie i umuńskie, odróżnia się je po chorągiewkach.

GRANICA

Stoimy na rozmiękłym nasypie. Przed nami wąski i długi biegnie kolejowy tor. Lśni metaliczną, nie załamana nigdzie, mokrą od deszczu sta- łową linią. Dorykając niemal żelaz- nych prętów białoczerwonej bariery, prosty i równy lśni na drewnianym pomoście. Ledwie go widać z drugie- ję bariery, równie spuszczonej aż do samej ziemi. Biegnie w dwie stro- ny: po przez dwa miasteczka, po przez dwa kraje i po przez łączący je mały, wąziutki most.

DWAJ STRAŻNICY

Po obu stronach w granicznych budkach ludzie. Dwaj urzędnicy sto- ją na straży swojej ojczyzny. Ciemnowłose, Rumun patrząc w zwi- szającą w rogu izdeblki ikonę, marzy o awansie, który mu obiecano wyjed- nać u króla. Chciałby już porzucić tę nieciekawą pracę i wyjechać tam w głąb kraju. Myśli tak i patrzy w o- kienko skąd widać kraj inny znaczący własnymi tablicami z umieszczonym na nich orłem. Patrzy na małe dom- meczki, przed którym stoi na war- cie przedstawiciel innej rasy, innego kraju innej religii. — Polak — jego ko- lega po fachu.

Łączy ich przyjaźń, obaj są prze- cież na jednakoowym posterunku: na straży kraju.

R. Zmigrodzka

Archiwum Jednoty Wileńskiej interesuje uczonych obcych

Na niedawno odbytej pierwszej kon- ferencji historyków bałtyckich w Ry- dzie odczytany był pomiędzy innymi referatami z zakresu historii, prahisto- rii i archiwistyki komunikat p. Wacła- wa Gizberta — Studnickiego, dyrektora archiwum państwowego w Wilnie o archiwum dawnej „Jednoty Wileń- skiej”, czyli wileńskiego kościoła ewan- gelicko - reformowanego.

Spośród istniejących w dawnej Rzplitej trzech jednost reformowanych (malopolskiej, wielkopolskiej i „litew- skiej”), pozostała do dziś istniejąca bez przerwy od 16-go wieku jedna tyl- ko jednosta wileńska, dawna „litew- ska”, posiadająca własne archiwum, będące rezultatem jej kilkukilkowej działalności wewnętrznej i zewnętrz- nej.

Jednota warszawska posiada wpraw- dzie nabyty w wieku 19-tym cenny

zbiór rękopisów i akt, jednak star- szych od niej jeden, albowiem sama powstała dopiero w końcu 18-go wie- ku jako filia zboru w Węgrowie, na- leżącego do wileńskiego kościoła.

Archiwum i biblioteka wileńskiego synodu coraz bardziej interesują się historycy państw bałtyckich, skandy- nawskich i Europy środkowej.

Bezpośrednio po konferencji histo- ryków bałtyckich w Rydze odwiedził Wilno profesor Uniwersytetu buda- peşteńskiego i Węgierskiej Akademii Umiejętności dr. Emerich Lukinich, który po gruntownym zaznajomieniu się na miejscu z dostępnymi do ba- dań naukowych archiwum i bibliote- ką wileńskiego kościoła ewangelicko- reformowanego, zapowiedział, że przyśle jednego ze swoich zdolniej- szych uczniów na dłuższe studia ar- chiwalne w Wilnie.

Anglia i Francja transmitują koncert chóru ks. Gieburowskiego

Nie dawno prasa polska doniosła o- dużych sukcesach, jakie odniosły wy- stępy Poznańskiego Chóru Katedral- nego na międzynarodowym festiwalu muzycznym w Paryżu. Podobne lau- ry zbierał zespół ten w Frankfurcie n./Menem. Nic dziwnego, chór ten bowiem, należy do najlepszych ze- społów kościelnych. Obecnie wystąpi on dn. 30. VIII o godz. 22.00 w kon- cencie radiowym, który transmitowa- ny będzie przez angielskie rozgłośnie B. B. C. i radiostacje francuskie.

Tym razem Chór Katedralny wyko-

na program, zawierający obok utwo- rów religijnych Palestriny, Lottiego, Mendelssohna i Brucknera, pieśń kom- pozytora francuskiego Antoniusa de Fevin p. t. „Veni in hortum meum” (Przyjdź do ogrodu mego). Fevin u- rodził się w r. 1473, był wybitnym kom-pozytorem kościelnym, po którym za- choowane zostały w kaplicy sykstyn- skiej cenne manuskrypty. W koncer- cie m. in. wykonane zostanie dzieło Mikolaja Zielenkowskiego „O gloriosa Domina” — chluba polskiej muzyki religijnej pierwszej połowy XVII wie- ku.

Capri romantyczne i Capri codziennego życia

(Korespondencja własna „ABC”)

Capri, w sierpniu.

Przez poczekalnię willi „He- los” dzień w dzień przewijają się chorzy mieszkańcy Capri. Przy- chodzą tu, do Sióstr Elżbietanek po pomoc lekarską. Widzę kobiety przedwcześnie starzejące się, bła- de i wychudłe, dzieci, znające twarde słowo: cierpienie w ne- dzy.

Tu do willi Heljos przycho- dzą schorzań mieszkańcy Capri — wyspy palm i kwiatów, zabaw i miłości...

Nad malowniczą via Augusta co w serpentynach schodzi ku mo- rzu, obok parku ginącego wśród palm, zdobnego w róże i mimozy — wznoszą jakąś budowlę. Obser- wuję kobiety, które wspinając się po stromej ścieżce, dźwigają na głowie ciężary. W taki upał... I mężczyźni, którzy na śniade barki nakładają zwalę kamieni. A mimo upału, mimo trudów pracy są oni uśmiechnięci, tym zdobywczym uśmiechem Włocha.

Ileż radosnego śmiechu rozlega się teraz na Marina Grande, gdzie odgrodzono specjalny kawał pla-ży — dla dzieci faszystowskich.

Tu rozlega się wesoła piosenka neapolitańska, tu o fale morza uderza modlitwa, pogodna ufną modlitwa tych przyszłych panów i dziedziców pięknej Italii. Dziś — pod czułą opieką rządu, na kolo- nii, wyrwane z dusznych ciem- nych izb, gdzie rozsiadły się nę- dza i choroba, cieszą się urodą ży- cia. A przecież tak niedawno ma- ły dzieciak neapolitański był ma-

łym żebrakiem. Lecz dziś żebra- ctwo — zarówno jak nieuctwo i brud znika z powierzchni życia Italii faszystowskiej.

Capri dzisiejsze różni się bar- dzo od dawnego Capri Axela Munthe.

Rok rocznie z postępem życia ginie to, co złe, brzydkie, zanied- bane, a czarodziejska wyspa sta- je do wyścigu w tym wspaniałym biegu o lepsze jutro Italii Musso- liniego.

I z tym światem co w przesz- łość już uchodzi dawnym światem rybaków neapolitańskich, zda się łączyć teraźniejszość — stary ry- bak w opisywanej przez autora „Księgi z San Michele” w czer-

wonej, frygijskiej czapce. Rybak ten — o wspaniałej brodzie — szlachetnej tylekroć portretowa- nej twarzy — siaduje wśród ciżby turystów — na Piana — tak inny od wszystkich swoich obcych, jak in- ny jest dzień wczorajszy od dzi- siejszego...

Stary zegar na Piana wydzwa- nia wieczorną godzinę. Wspania- ła jest teraz wyspa. Noc pogod- na kładzie się na szczytach. Tam jest wieczna cisza. Tu na Piana — tłum podziwia rozpo- ciągający się z tarasu widok. Nea- pol migocze brylantami światła. Wezuwiusz wybucha raz po raz czerwonym płomieniem. Świat cały tajemniczy, jakby zaczaro- wany.

Nina Puchalska.

Ku czci męczenników Wielkie misterium w Kanadzie

W miejscowości Midland Ont. w Kanadzie, gdzie w początkach hi- storii Kanady poniosło śmierć męczennik 8 misjonarzy Zakonu Jezuitów, którzy zostali kanoni- zowani jako pierwsi święci Kana- dy, odbyło się przy kaplicy wznie- sionej ku ich czci misterium, przedstawiające ich wyładowanie początkową przyjaźń z Czerwo- nymi, intrygi „lekarza” indyjskie- go i samo męczeństwo. Misterium wystawione przy udziale około 100 aktorów podziwiała przeszło 3000 widzów.

Równocześnie kościół katolicki

w Zachodniej Kanadzie organizu- je wielkie uroczystości, które od- będą się na wyspie Chesterfielda o 950 mil od Winnipeg, a które mają upamiętnić 25-tą rocznicę rozpoczęcia pracy misyjnej wśród Eskimosów północno - zachodniej części Kanady.

W SOKOŁOWIE PODLASKIM

zaprenumerować „ABC” można u p. Reginy Kojro ul. Kilińskiego 5.

Zabytki

kościół swarzewskiego

W związku ze zbliżającą się da- tą koronacji Królowej nad zatoką Pucką (8.9.37) zainteresowanie tą miejscowością jest w całym kraju bardzo duże. Kościół swarzewski poza statua Matki Boskiej z 14-go stulecia, posiada je- szcze bezcennej wartości rzeźbę Matki Boskiej Bolesnej, również gotycką, poza tym nie posiada takich cennych zabytków, jak ko- ścióły poklasztorne w Żukowie, Żarnowcu.

Zaznaczyć jednak należy, że po- łączy dzwon świątyni swarzew- skiej z r. 1627 jest dziełem mi- strza ludwisarskiego w Gdańsku Daniela Tyma, którego dziełem jest odlew spiżowy statuy króla Zygmunta 3-go na szczycie kolum- ny na Placu Zamkowym w War- szawie.

JACEK BRZEZINA

„PANI NA PUSTYNNYCH SZLAKACH”

POWIEŚĆ

1.

Mahammed Toufik Khaled przesunął na tył głowy swój wypłowiały i postrzępiony haik*) i spojrzał raz jeszcze by- stro na siedzącego po drugiej stronie ognia Europejczyka. Poprzez giętkie płomienie tworzące dziwny taniec cieniów na ciemnych ścianach namiotu widział błyszczące z pod nasu- niętego głęboko na nos kapelusza ciemne szkła okularów. Siwa brodka nieznanego dziwnie upodabniała go do wi- dzianego kiedyś na obrazku wiszącym za niedostępną dla Hohammeda witryną sklepu generała. Mohammed nie wzię- pił, że był to generał, to też czuł wielki respekt do cudzo- ziemca, a gdy ten przemówił doń jego rodzinnym językiem, był gotów zrobić dlań wszystko — naturalnie za pewnym wynagrodzeniem!

Kto go tutaj przysłał? Kto mu powiedział, że dla podob- nych celów nie ma człowieka lepszego, jak Mohammed? Na pół dziki umysł beduina nie zastanawiał się długo nad tymi

*) Haik — chusta noszona na głowie przez beduinów.

problemami. Cudzoziemiec dobrze płacił i skóra warta była wyprawki.

— A więc załatwione? — pytający blask czarnych szkłał przesunął się poprzez jałowcowy dym po postaci Moham- meda.

— Naam, ya khawaja!**) — (tak, Panie) — rzekł posep- ny syn pustyni, wyciągając brązową dłoń po przyjemnie szeleszczące papierki.

Odziana w długi treneczki postać podniosła się z honoro- wych, jedynych w całym namiocie poduszek. Kapelus, ciemne okulary i szpiczasta brodka znikły gdzieś w unoszą- cych się pod pułapem oparach dymu. Przed Mohammedem widniał teraz tylko zapięty na jeden rząd guzików płaszcz, z pod którego wystawały czarne buty do konnej jazdy.

— As'ad Allah layalikom (Niech Bóg Ci da dobrą noc)!

— Wa layalikom (i Twoja noc)!

Na chwilę rozczyliły się skóry zakrywające wejście do namiotu. Zakolysał się pod naporem świeżego powietrza ogień, dym ułożył się w jakieś dziwne esy floresy i chuda postać znikła w ciemnościach nocy. Jeszcze pies zawył, brzę- kły końskie podkowy...

Mohammed został sam. Siedział chwilę nadsłuchując uważnie, po czym szybkim ruchem schował szeleszczące pięknie papierki za pazuchę.

— Hojny Pan! Allah ychfazak (Niech Bóg go zachowa)!

Białe światła reflektorów szły się po szlaku. Czasem, na zakrętach, utykały nagle na dziwnych, przypominających

**) Język arabski użyty w powieści jest żargonem, którym po- sługuje się ogół muzułmańskiego świata. Żargon ten różni się bar- dzo od literackiego języka arabskiego.

wielkie kretowiska kępach trawy z rzadka rozsiągniętych na pustynnym stepie. Utykały na nich, wydłużając ich cienie, łącząc je ze sobą i tworząc na piasku czarne kraty.

Szlak był szeroki i płaski. Sto kilometrów na prawo i le- wo nie spotkałbyś na nim żadnej większej wyniosłości. O kilka godzin jazdy zostały ostatnie urwiska srogich dze- beli*). Droga — to ślady opon samochodowych, wyjeżdżone kępki trawy i pusty, zardzewiały bidon po benzynie odbija- jący z dala światła reflektorów.

Z pod czarnego, przysiadłego do ziemi cienia wyrwa się długonogi skoczek, śmieszna mysz z wielkimi, jak u gacka uszami; niczym latarki elektryczne świecą zielone oczy po- lującego o tej nocnej porze lisa, którego długi, czarny cień umyka z mlecznego samochodowego szlaku.

W górze, rojem wielkich, sinozielonych gwiazd błyszczą czarne, beksiężycowe niebo.

Ośmiocyndrowy „Dodge” niósł lekko, prowadzony pew- nie zgrabną obciśniętą skórą rękawiczką ręką, cichym warkotem li tylko mącąc panującą wokół ciszę. Nawet hie- ny nie dawały znaku życia.

Kobieta siedząca przy kierownicy spojrzała mimochodem na oświetloną tarczę zegara i wąski, o niepomierne wyso- kim obcasie pantofelek naciskał mocniej pedał. Motor zro- zumiał się wolę człowieka zawarczał silniej i maszyną po- derwała się z dotychczasowego pięćdziesięciokilometrowego pólśnu. Strzałka kilometrowa jak na komendę przesunęła się na siedemdziesiątkę i stanęła prawie nieruchomo nie mając widocznie zamiaru opuszczać tego stanowiska.

*) Dzebel — pasma gołych, pustynnych wzgórz.

(D. c. n.).